Jan Stanbor

PLUSK FALI

JAN STANBOR

Plusk Fali

Nakładem autora

Hanower 1947

Z SREBRZYSTEJ TONI

Z SREBRZYSTEJ TONI

Plusk fali —
jeden, drugi, trzeci...
kona na zimnym łonie skał,
broczy krwią korali
i łzą pereł świeci
i białą pianą znaczy skonu szał.
A z mglistej dali
nowy tłum fal leci,
jedna za drugą wciąż pomyka w cwał,
na szary granit pada garść opali
a na dół spływa śnieżnej piany wał.
Żałosny plusk szemranym echem
rozbiega się w nadbrzeżną dal
i miesza się z rubasznym śmiechem
rozklekotanych ludzkich fal.
A w czyjejś głowie mózg się pali,
a czyimś sercem targa żal
i łzą na zimnej twarzy świeci,
drgając jak pierś rozbitej fali,
a echo niesie w głuchą dal
plusk — jeden, drugi, trzeci...

*

Modlitwa

Boże!
Przed Tobą z dumą i w pokorze,
zorane myślą chylę czoło,
gdy mi na barki kładziesz krzyż
i każesz myśli piąć się wzwyż
poprzez zawrotne gwiezdne koło
i głuche ciemni morze.

Choć z pod mych stóp uchodzi grunt
i ziemia się rozpada w proch
i przed oczyma gasną zorze
i dławi krtań rozpaczy szloch
a w piersi płonie bunt,
ku Tobie idę Boże.

Kędy przepastny nieba wór
rąbi błyskawic złoty ścieg
i pruje śmigłych komet bieg,
wzniecając meteorów kurz,
wśród mlecznych chmur
i mgławic burz,

tam swój wyniosłeś tron.
A słońca przed nim drżą jak liść.
A moją drogę piorun orze.
A ja przez życie i przez skon
tam muszę iść.
O Boże...!

*

Słońce moje prysło niby bańka szklana,
a z wnętrza tysiąc jadowitych węży
sypie się jak strzały zatrute z kołczana,
co się rozleciał gdzieś u szczytu świata.
A każda strzała swe żądło wytęży
i wije się trucizną obłąkana
i spada na kształt wężowego bata,
jakby ze żmij spleciony bicz szatana,
lub na kształt jakiejś piekielnej uprzęży
wżera się w ciało, — serce, mózg oplata.
A serce wtedy — jedna wielka rana,
całe się zżyma i boleśnie pręży,
jak pierś dziewczęcia w rękach kata.
Wtedy krwi fala wciska się do głowy
i jakoś dziwnie w uszach syczy,
że nie wiadomo, czy to serce krzyczy,
czy już zagłuszył wszystko syk wężowy.
A w chłodnej myśli wtedy gorycz sama.
A zamiast słońca — pusta plama.
Lecz serce nie przestaje bić,
więc trzeba dalej być,
...i żyć
— i spać
i jeść i pić,

choćby to miało wieki trwać.
Cha — cha — cha!
Trzeba się śmiać.
A taki śmiech
zapiera dech,
do szału pcha,
cha — cha — cha — cha!
Komedię trzeba grać
i żyć
i życie takim brać,
a w życiu wciąż o słońcu śnić,
pod słońcem słońcem żyć bez słońca,
— tak ciągle, ciągle... aż do końca.
. . . .
Lecz czasem w ogniu takich bóli
serce gruntownie się odmienia,
chociażby miało być z kamienia,
i choć je mrok całunem tuli,
naraz się całe rozpromienia,
na kształt ognistej, jasnej kuli,
i blask dokoła nieci,
i tam, gdzie ludziom słońca brak,
gdzie czają się wężowe sieci,
tam opromienia ciemny szlak
i w mroku słońcem świeci.

★

Ballada

Zahukany,
zaorany,
nad lemieszem zgięty w pas,
ciągnął długą,
jedną, drugą,
skibę, hen, pod las.

Przez ugory
w mroczne bory
mroczne myśli chyłkiem słał,
gdzie zwierz polny
i człek wolny
swój spoczynek miał.

On i woły
— przyjacioły,
miały jeden wspólny los:
jedna praca,
jedna płaca
i ostatni cios.

— „Woły, chyżej!
Coraz bliżej
wieje czarem leśny chłód. —
Prościej kroczy,
śmielsze oczy
i pewniejszy chód.

Z lewej strony
trzy zagony.
To cudzego żyta łan.
A na prawo
lśni murawą.
Tam jest jego pan.

Słońce nisko.
Wieczór blisko.
Do obory wkrótce czas.
Noc przespana
i do rana...
— Dziwnie szumi las. —

— „Woły razem!
Tym żelazem
ciągnie się nasz wspólny byt.
Jak złowroga
dziś ta droga
i lemiesza zgrzyt!" —

Już pod lasem.
— Może czasem
jakoś się odmieni los. —
A las szumi...
Człek rozumie,
co ten mówi głos.

Las sędziwy
Straszne dziwy
prawi sprzed tysiąca lat:
— wolna wola,
myśl sokola,
jakiś inny świat. —

Mruczą drzewa.
Wiatr zawiewa.
Gdzieś drapieżny kwili ptak.
Niebo szkliste,
pole czyste,
a tchu w piersi brak.

— „Woły cicho!
Co za licho,
z czoła spływa zimny pot.
Mózg się pali.
Serce wali,
jak kowalski młot.“

Chwila długa...
jedna, druga...
Już zejść z pola wielki czas.
Wyprzągł woły,
zatknął poły
i na zawsze w las!

*

Wiosenna baśń

Majowym rankiem bawiły się kwiaty,
igrały z płochym wiatru powiewem.
Nad nimi mruczał dąb rosochaty
i ptaki wtórowały śpiewem
i pszczoły przylatały w swaty
z miłosnego pyłku siewem,
wśród Amora złotych strzał,
co w zenicie za ognistą
tarczą uśmiechnięty stał
i, spijając rosę czystą,
brylantową czy perlistą,
swe spojrzenie powłóczyste
rozmarzonym kwiatom słał,
a miał tyle ognia w oku,
że płomieniem swego wzroku
pieszczotliwie kwiaty grzał,
aż niektóre lekko drżały,
a ich płatki pąsowiały
i wpadały w woni szał,
a wszystkie się śmiały.

Przysiadł się paź młody,
motyl dziwnej urody,

co strój ekscentryczny miał,
krzyk ostatniej mody.
Wśród beztroskiej swobody
do kielicha się brał.
W znak upalnej pogody
spijał sok dla ochłody.
I on też się śmiał.
Targnął skrzydłem, niby od niechcenia,
złociste struny promienia
i grał,
wśród upojenia,
symfonię barw,
jak pieśń zaklętych jakichś harf,
czy jak wiosennych róż marzenia.

Wyjrzał słowik zza jawora
i różami się zadziwił
i do reszty się zakochał.
Taka była cudna pora,
że odrazu się roztkliwił
i raptem zaszlochał..,
choć daleko do wieczora.

A opodal brzózka biała,
że w koszulce tylko stała,
tak się tym strapiła,
tak zażenowała,
że warkocze rozpuściła
i płacz udawała.

Nadszedł chłopak urodziwy
i wiotka dziewczyna.
Ten jej prawi jakieś dziwy,
coś szepce do ucha.
Ta udaje, że nie słucha,
i śmiać się zaczyna.
Chłopiec marszczy brwi, odchodzi.
Dziewczyna się gniewa.
Ale wiatr tak rzeźko chłodzi
i tak miękko szumią drzewa
i tak sennie pszczoły brzęczą
wśród kwiatów powodzi
i tak pysznie igra tęczą
leciuchne skrzydło motyla,
niby garść drogich kamieni,
i tak rzewnie słowik szlocha,
że chłopak się rumieni,
a dziewczyna usta czerwone rozchyla
i mówi prawdę, że kocha.

Wkrótce wszystko się odmieni.
Kwiaty zdmuchnie wiatr jesieni,
brzózka wypłowieje,
grzać przestanie snop promieni,
piękny motyl wnet omdleje,
pszczoły zasną snem zimowym,
a słowik zamilknie na świętego Wita.
Wietrzyk stanie się surowym
i zima zawita.
Również z czasem młoda para
zbrzydnie i stanie się stara.

Ale jednak po tym ranku,
co w majowym blasku tonie,
pozostanie coś bez szwanku,
gdzieś głęboko w ludzkim łonie,
coś, co świeci bez ustanku,
skoro w sercu raz zapłonie,
co, jak róża w kwietnym wianku,
czarem zdobi ludzkie skronie
i, jak jasny grot promienia,
przejdzie w przyszłe pokolenia
i zostanie tam, jak w banku,
choć się ludzkość wciąż odmienia.

Taki obraz to kapitał,
co się nigdy nie zmarnuje.
Niech go tylko dusza zdrowa
umiejętnie odmaluje,
żeby kształtem nie zazgrzytał,
i niech potem go przechowa
w takim sercu, co miłuje.

A tu tymczasem poeta zawitał,
— poeta zawodowy, co się bardzo wsławił, —
choć go nikt nie pytał
sam się tak przedstawił;
z długim rozczochranym włosem
i z niebywałym patosem;
z jakiejś szkoły ekscentrycznej,
bodaj, że futurystycznej.

Zerknął dokoła, pociagnął nosem,
potem skrzywił się i splunął
i potokiem wierszy lunął.
Z wykrzywionych ust poety
jak z wyszczerbionej amfory
sypały się niewybredne słowne nowotwory,
dosadne epitety,
cudaczne metafory,
a on w wyniosłej pozie estety
zalecał muzie te potwory,
jako swe sukcesy duże.
Najpierw wziął się do słowika,
porównał go do indyka,
a czerwone róże —
do płachty na byka.
Z kolei motyla
porównał do krokodyla,
a słońce — do nocnika.
Żeby nie tchnąć czymś zwyczajnym,
fiołkom kazał wonieć łajnem,
a w płaczącej brzozy szacie
dostrzegł tylko brudne gacie.
Co do chłopca i dziewczyny,
to, pewno dla sztuki zalety,
przypiął im soczyste, grube epitety,
mianowicie — „jakieś“ syny;
chociaż miał rymować „dymy“.
Ale takie luźne rymy,
zresztą z pewną szkołą zgodne,
są dziś modne

i wygodne;
przez to porywy byle poety
mogą stać się bardzo płodne
i zabłysnąć w całej krasie,
a on sam, niestety,
może zająć miejsce godne
na Neoparnasie.

Tym razem róże spłonęły purpurą,
słońce skryło się za chmurą,
rozpierzchł się korowód pszczół,
słowik gdzieś odleciał górą,
motyl skrzydła spuścił w dół
i kolorem trupim zbladł
i na ziemię martwy spadł.
Młoda para się rozstała —
do jej serca chłód się wkradł.
A nieszczęsna brzózka biała
naprawdę płakała,
bo raptem w tym cudnym poranku majowym
świat stał się takim brudnym i jałowym
i tak brutalnym objawił się głosem.
A poeta odszedł — z zadartym nosem,
w wieńcu laurowym
i z wypchanym trzosem —
szukać dla poezji swoich nowych kupców,
bo na świecie nie brak głupców.

*

W lustrze

Kręcąc się przed lustrem, małpa obskurna, stara
Rzecze do niedźwiedzia: — patrz, co za poczwara
Z tego zwierciadła wyziera;
Patrz, jak paskudnie gębę otwiera,
Jak się głupawo uśmiecha.
Doprawdy, trzeba mieć pecha,
Żeby się taką urodzić.
Ja za nic bym nie mogła z jej losem się pogodzić!
A jednak, — wśród moich kumoszek nadobnych
Znalazłoby się kilka zupełnie podobnych;
Nawet mają ruchy, jak ta pokraka.
Co za szczęście, że ja nie jestem taka!
Na to niedźwiedź: — z pewnością inaczej byś gadała,
Gdybyś wpierw uważnie na siebie spojrzała.
Niestety, słuszna uwaga nie poskutkowała.

(Przekład z Kryłowa)

*

Żagadka

Stała . . ,
jak skała.
Wiał od niej chłód
i w oczach miała lód
. . . . . płakała.

On przed nią stał
i drżał.
Nerwowo palił papierosa,
kłębami dymu namiętnie buchał.
Szczęka mu drgała.
Patrzył z ukosa
i słuchał,
jak milczała.

Odeszła panią —
sztywno, wolnym krokiem,
ale kolana jej lekko drżały.
A on szedł za nią
ze spuszczonym wzrokiem
i marszczył brwi,
choć oczy mu się śmiały.

A potem ciszę przerwał strzał
i chlusnął potok ciepłej krwi
i ktoś się w mękach wił.

Kto kochał, a kto drwił?
I kto z nich lepiej grał?

*

Po coś mi jad opalowy
sączyła do duszy zdrętwiałej
i w mojej chatce pustej, małej
rzucałaś zapach jaśminowy?
Po co do skołatanej głowy
wkładałaś nieziemskie sny?
A od nich serce jak liść drży,
a myśl jak motyl diamentowy
lśni wśród rozsłonecznionej mgły.
Żeby mi dziś hukały sowy
i puszczyk dusił się od śmiechu,
że los mię chwycił taki zły, —
że w piersi brak oddechu
a w oczach stoją krwawe łzy
i jak popielne skry migocą, —
że słuch mój głuchnie w twoim echu
a myśli z tobą się szamocą
i roztapiają się w twój cień, —
że mi nieznośnym stał się dzień
a zmora dusi nocą.
Po coś tu przyszła, po co?

*

Czy pamiętasz to przezrocze
przedjesiennych złotych dni,
kiedy słońce mgłami lśni
przez dziewczęce wierzb warkocze
u nadwodnych pni?

Czy ty jeszcze widzisz wciąż,
jak wód piersi srebrem jęczą...
i tę srebrną nić pajęczą,
co oplata, niby wąż,
ale muska, niby tęczą,
twej kibici gibki miąż?

A czy czujesz zapach tęczy,
kiedy ranne pije rosy,
topiąc krasę swych obręczy
tam, gdzie falą szumią kłosy,
gdzie na wietrze
złotowłosy
igra żyta łan,
kiedy kłos się z kłosem zetrze
i w miłosny idzie tan?

Słyszysz jeszcze kwiatów zew?
— skoro przejdzie ciepła burza,
a w gęstwinie niby krew
purpurowym blaskiem tli
rozchylona róża?

— i na wiatru wiew
rzuca miękką woń
i źrenicę twoją mgli
i twe lica rozpurpurza
i ust płatki we krwi nurza
i krwi falą bije w skroń,
aż twe czoło się zachmurza
i drży lekko dłoń?

Czy chwytasz jeszcze wątek dum,
co wtedy snuł się wspólnym pasmem,
takim błękitnym, miękkim, jasnym
i takim cichym jak ten szum
nad nami liści rozmodlonych,
gdy pochylonych
różnych drzew
otaczał nas przyjazny tłum
i rzucał na nas w biały dzień
dyskretny mroku cień
...i tak radosnym jak ten śpiew,
którym nas głuszył ptaków chór,
choć wówczas tyś milczała,
...i takim dźwięcznym jak twój wtór,
gdy krtań ci śmiechem drgała,
...i tak upojnym, takim rwącym
i takim sennym i palącym...
jak twoich oczu żar...
i ciała...
Wszak...
Tyś...

Tyś wtedy drżała.
Tak!
A dziś?
Pamiętasz dni tych czar?

*

Wśród nadmorskich głuchych skał
wiatr jesiennym echem łkał.
Gdzieś od morza zabłąkany
po wertepach dzikich ganiał
i na zboczach gór się słaniał,
dysząc tchnieniem morskiej piany,
i rozpaczą drgał.
Na konarach wierzb zawisał,
na jałowcach się kołysał,
na wierzchołkach sosen chwiał.
Brzóz płaczących szarpiąc struny,
jakieś topielcowe runy
na jesienną nutę grał.
Wtem się zrywał jak szalony,
rzucał się na wszystkie strony
i na oślep gnał.
Wiatr jesienny, pogrobowiec...
Targnął dęby zamaszyście
i popędził płowe liście
jak spłoszone stado owiec.
Potem wpadał w istny szał.
Chwytał piach w wirowy taniec
i jak piekieł opętaniec
straszliwie się śmiał,
gdy mew biały zastęp chórem
jęczał z chmur, żałosnym wtórem,

a z oddali morza wał
pogrzebowym basem grzmiał.
Fale tłumnie nadbiegały
i klękały na wybrzeżu
i szeptały jak w pacierzu
i piersiami uderzały
o kamienny zwał.
A nadbrzeżne nieme skały
ciągle niewzruszone stały
i patrzyły w mglistą dal.
Nieraz już słyszały one
szept cmentarny łzawych fal
i jak morze grzmi wzburzone
i jak mewy wylęknione
swój wywodzą żal.
Więc niezmiennie trwały głuche,
niewzruszone, zimne, suche,
jak hartowna stal.
Tam na morzu żagiel błyska:
jakiś kuter się przeciska
przez bałwanów gwarny tłum.
Młody rybak, zamyślony,
do kochanej wraca żony,
zasłuchany w morza szum.
Wciąż podstępna myśl kołacze:
— te ostatnie oczy zmienne,
jakieś dziwne, niecodzienne. —
Serce śmieje się i płacze
pod natłokiem sprzecznych dum.

Młody rybak traci grunt;
żal i zazdrość bólem smaga;
jeszcze świeci błysk nadziei;
lecz wypełza po kolei
jakaś straszna prawda naga;
w duszy płonie życia bunt.
Wnet do brzegu dobić miał.
Tłum rybaczek młodych stał.
Lecz dla niego brzeg był pusty,
bo nie dostrzegł barwnej chusty,
co tak dobrze znał.
Więc się wsłuchał w wiatru wycie,
wpatrzył w mew korowód biały,
w niewzruszone, twarde skały
i zrozumiał życie.

*

Myśl ludzka...
— Potwór stugłowy,
wampir w postaci kameleona,
co mózg wypija
i serce w krwawe strzępy drze,
co wzrokiem płomiennym,
oddechem palącym,
dymnym, duszącym, zatrutym —
odurza, oślepia, zabija.
— Od ziemi odrywa,
niby wichr ognisty,
i rzuca gdzieś w bezkresy nieba,
w czarowny kraj, w zaświaty,
a potem ciska znów o ziemię,
przygniata do padołu łez,
w bruk wciska,
w proch zarywa...
— Rozprasza mrok i blask roznieca,
niesamowity blask tysiąca słońc,
i blaskiem tym oślepia;
zakrywa słońce, to jedyne,
i piekieł dno odsłania...
A potem, jak cudowny ptak,
jak feniks złotopióry,
z popiołów się odradza

i aksamitnym, chyżym lotem
zakreśla harmonijny łuk,
żeby zawisnąć u zenitu pogodnych,
[jasnych sklepień.
I tak przez jakąś chwilę trwa.
Za sobą ciągnie duszy wzrok,
wzrok umęczony wirem życia,
pociąga go w lazuru toń,
przykuwa go do szczytu,
kędy szczęśliwą dumę śni.
... Myśl ludzka — ducha kwiat,
zaklęty w pysznych barw tysiącu,
w tysiącu dziwnych kształtów.
na życia uroczysku.
... Myśl ludzka — zimny płaz,
— ślizga się, wije wśród rumowisk
piwniczną zaciągniętych pleśnią,
czołga w przyziemnych oparach błot,
w wyziewach stęchłych, chorobowych,
— nurza się w bagna przegniłą maź
— i pełza, pełza w szczupłym kręgu
wśród karłowatych, lichych krzewów
i oschłych, przekwaszonych traw,
znacząc swą drogę krętym śladem
zgmatwanym w labirynt bez celu i wyjść,
ponętnym dla tworów nikczemnych.
— Aż raptem spręży się do skoku
i jednym porywistym rzutem
wybiega hen... w nieznaną dal,
odbija się od płaskich gruntów

i górą bierze lot,
lot równy, pewny siebie,
zuchwały, śmigły, prosty.
— I raptem, jakby urzeknięta,
w rozpędzie staje przerażona,
oszołomiona własnym lotem,
przestrzenią pokonaną,
— z rozpaczą patrzy w dół, za siebie,
samotna, opuszczona,
niedostrzegalna z tego kręgu,
w którym obracać się nawykła.
Staje niepewna w dalszy lot.
A za nic nie chce wracać w dół,
w krąg z góry tak znikomy.
Więc woła wielkim głosem,
rozdzierającym głuchą dal,
woła na bratnie myśli:
— niechaj oderwą się od ziemi,
niechaj się porwą w górny lot,
niech śmiało rzucą się jej śladem
gromadnie w nowy byt.
— Hej, do mnie, myśli ludzkie!
Stąd widać cały ziemski glob
i wielki nieba szmat.
Tym samym śmiałym, chyżym lotem
stąd można ruszyć w dalszą drogę,
skąd się zobaczy wielki świat
przy blasku niezliczonych słońc.
Tu czuć zupełnie inny wiew.
Tu pierś ma czym oddychać.

Hej, ludzkie myśli, do mnie w lot!
Samotność tu przeraża,
odbiera siły, ściąga w dół,
w haniebny dawny myśli krąg,
gdzie dłużej trwać nie sposób. —
... W odpowiedź: z dołu — głucha cisza,
a z góry — przeraźliwy trzask
straszliwie jasnych gromów.
. . . . . .
Tak załamała się niejedna
potężna, śmiała ludzka myśl,
— i spadła w dół z słonecznych wyżyn,
żeby się w ciasnym kręgu wić,
wchłaniając duszny mrok.
... Tak wreszcie, wzniosła myśl w [przyziemnym kona prochu,
żeby odrodzić się i znowu lecieć wzwyż.
... A czasem całe mrowie myśli
porywa z sobą w górny świat,
że niby z dołu wulkan tryska
i burzą złotych iskier miota,
gdzieś aż pod niebios blady strop,
— aż słońca blask przyćmiewa
i łoskot gromów głuszy.
... A potem znów zalega cisza,
jałowa, zimna, monotonna;
tylko popiołów słychać szum,
gdy opadają szarą chmurą
na pełzający gnuśnie dół.
A wtedy wszystko takie szare

pod warstwą spopielonych myśli,
że niby jeden wielki głaz
bez barw, bez ciepła i bez czucia...
I tylko w tym popielnym łonie
gdzieniegdzie senna iskra tli,
by kiedyś znów, płomieniem buchnąć
i burzą iskier targać mrok.

. . . . . .

W tych ciągłych kontrastowych zmianach
jest cały świata sens i urok
i życia cały smak
i czucia czarodziejska siła
i cała ludzkiej myśli treść
potworna i przecudna,
jak gromu blask na łonie nocy,
albo miłości zgasłej krzyk,
lub krwawy pot na jasnym czole,
lub szczęścia cicha łza.

. . . . . .

Myśl ludzka... ducha stos ofiarny..,
ludzkości żywy znicz.

*

Znasz li ten kraj, gdzie zawisł cień żałoby,
Gdzie jest twój ród i twoich ojców groby,
Gdzie czerwień krwi ruiny świeże stroi
I świeży krzyż na każdym kroku stoi?
Znasz li ten kraj, gdzie każda piędź ci miła?
Tam byłby raj, gdyby tam prawda żyła!

Znasz li ten grunt, gdzie wielki czyn dojrzewa,
Gdzie jutra blask tysiące serc zagrzewa,
Gdzie dawnych lat zabytek dumę poi
I długi rząd zbiorowych mogił stoi?
Znasz li ten grunt, gdzie każdy szmat ci miły?
Tam byłby raj, gdyby nie cień mogiły!

Znasz li ten gród, gdzie na zwalonych murach
Niezłomny duch oparcia szukał w chmurach,
Gdzie w miejski bruk wsiąknęło moc posoki,
A głazów wierzch zmywały łez potoki?
Znasz li ten gród, gdzie każdy gmach ci miły?
Tam byłby raj, gdyby się sny ziściły!

Znasz li ten dom, gdzie się od wspomnień roi,
Gdzie był twój kąt i gdzie najbliżsi twoi?
A wszyscy cię wołają duszą całą:
Tułaczu mój, ach cóż się z tobą stało!
Znasz li ten dom, gdzie tęsknią twoi mili?
Tam byłby raj, gdyby tam wszyscy byli!

Znasz li ten lud, gdzie każdy zbrojnym mężem,
Co w blasku łun odwiecznie lśni orężem,
Co rosi krwią swą ziemię dla wolności,
A tylko wciąż swych ojców zbiera kości?
Znasz li ten lud, gdzie bohaterów siła?
Tam byłby raj, gdyby tam jedność była!

*

Przedświt

Beznadziejna skostniała szaruga
jasnym gromem na poły rozdarta.
Chwila straszna, złowroga i długa,
arogancko leniwie uparta;
zda się wieki trwa — jedna i druga;
pełznie wolno — ta trzecia i czwarta.
W górze krwawa ognista gra smuga,
a na dole wciąż otchłań otwarta.
Chwila martwa, upiorna i długa
— pierwsza, druga i trzecia i czwarta...
... Zanim dziejów odwróci się karta,
zanim we mgle ukaże się zorza,
zanim promień rozjaśni przestworza
i rozepnie baldachim błękitu
— mgła zalega od morza do morza
i grom bije w posady granitu
i krew tryska z zimnego podłoża
ciepłą strugą do niebios gdzieś szczytu,
a w bezkresie chmurnego rozdroża
drgają echa ludzkiego skowytu...
... Niekończące się chwile przedświtu...
Beznadziejne czekanie nadziei...
Wśród palącej gwiaździstej zawiei...

Wpośród złudnych przebłysków miesiąca...
W tle grobowej ciemnicy bieleje
widmo blade walecznych tysiąca.
Trupią wonią ze wszystkich stron wieje.
Dymu fala napływa gryząca.
Już zdawało się nieraz, że dnieje,
a tu przedświt trwa zda się bez końca...
... Zda się nigdy nie będzie już słońca,
tylko uśmiech księżyca bladawy,
tylko ciągle piorunów blask krwawy
będzie świecił w śmiertelnej otchłani
do cmentarnej upiorów zabawy...
A ci jacyś tułacze nieznani,
wpośród gruzów duszącej kurzawy,
zimnym deszczem na wietrze smagani,
patrzą w niebo bez żadnej obawy
i czekają w głos dzwonu wsłuchani...
... Chcą świt dźwignąć. — To jutra tytani.

*

Dzwon

W krainie polskiej bije dzwon
na wielkie święte zmartwychwstania.
Z starego śpiżu się wyłania
jakiś zupełnie nowy ton,
jak gdyby nowe zawołania
z nieznanych przedtem stron.
Kojący, czysty dzwonu dźwięk,
lecz w dźwięku jakieś dziwne drgania,
jakiś żałosny jęk,
jakby starego świata skon,
czy też przed nowym życiem lęk.
Raz słychać niby ciche łkania,
to znowu jakby narzekania,
czy jakby rdzawych kajdan brzęk.
Raz brzmi jak wichr, gdy w cmentarz dmucha,
zmiatając kurz z grobowych płyt;
raz — jak więziennych kluczy pęk,
czy jak skazańca drżąca skrucha
i szloch o zagrożony byt
z przepastnych duszy wnęk.
A czasem dźwięczy rozpacz głucha —
i ostry zgrzyt,
jak mieczów szczęk,

przedziera się do ucha
i dreszczem serce targa.
I z serca płynie niema skarga
rozszczepionego ducha.
A Polska tego dzwonu słucha
w nadziei, trwodze i w skupieniu,
jak do jej duszy tonem wpada
i jak jej serca drżeniu
swym sercem odpowiada
i woła ją do chwały.
A ponad dzwonem orzeł biały,
a nad nim zorzy złoty łuk,
a w jego szponach potwór syczy
z wściekłości oszalały.
A nad ugorem kracze kruk.
A na ruinach puhacz krzyczy
piekielnym śmiechem rozjęczały
i pies zgłodniały wyje...
i słychać ludzkie ujadania.
A dzwon potężnym rytmem bije
na wielkie święto zmartwychwstania.

*

Hymn Odrodzenia

Postępu fala kruszy zapory,
Krwawa spełniła się ofiara.
Jasne myśli, mocna wiara
Wiodą nas na nowe tory.

Prawy głos polskich serc
Zlewa się w zgodny ton,
Nad nową drogą
Dźwięczy przestrogą,
Niby Zygmuntów dzwon.
Otuchą krzepi chmurną skroń.
Prawi Polacy,
Polską jednacy,
Stają do pracy,
Podając bez różnicy dłoń.
Powstaje zwarcie polski lud.
W niedługiej chwili
Będziem patrzyli
Na odrodzenia cud.
(Refr.) Gdy wstanie polski lud.

Z pożaru dymem wsteczne upiory
Rozwiały się jak senna mara.
Jasne myśli, mocna wiara
Wiodą nas na nowe tory.

Gdy wśród ugornych pól
Znów huczy złoty róg,
Niech skibę nową
Odwróci zdrową
Ręką trzymany pług.
Na wrogów padnie blady strach,
Kiedy nad krwawą
Gruzów kurzawą
Za wspólną sprawą
Wyłoni się świetlany gmach.
Niech wyje wichrów wściekły chór!
Dziś hełm stalowy
Zdobi nam głowy,
Nie czapka z pawich piór.
(Refr.) Niech wyje wichrów chór!

Pod światło spójrzmy na stare wzory,
Na nic się nie zda złudna miara.
Jasne myśli, mocna wiara
Wiodą nas na nowe tory.

Niech żon i matek łzy,
Niech braci świeża krew

W zorzy promieniu
Świecą sumieniu
Na nowy, lepszy siew!
Skończyła się upiorna noc!
Cóż mogą burze,
Gdy błyszczy w górze
Orzeł w purpurze?!
W jedności mamy straszną moc.
Złamany będzie każdy wróg,
Gdy z jasnym czołem
Ruszymy społem.
Tak nam dopomóż Bóg!
(Refr.) Złamany będzie wróg.

*

Z KRWAWYCH ODMĘTÓW

Lokomotywy gwizd złowrogi.
Wagonów makabryczny zgrzyt.
Fiu-u-u...! Ach, ach, ach — ż-żyd.

Mąci się w głowie i drżą nogi...
Pędzony bagnetami tłum;
i ból, i żal, i wstyd;
a w uszach przeraźliwy szum.
Ach, ach, ach — żżyd, żżyd, żżyd!
Na pewno... Fiu-u-u!
Tam... tam... Brak tchu.
Paniczny strach.
Gestapo..! Ach, ach, ach!
Karabin, granat, bat.
Raz, raz! Trzask, trzask!
I przekleństw grad,
i płacz, i jęk, i wrzask.
Na drodze krwawy ślad.
A wszędzie wciąż es-es;
i nie ma ludzi, tylko kat

i rozwścieczony pies,
i wszędzie purpurowy kwiat.

... Grobem wagonu ćmi prostokąt.
Śmiertelny chłód. Ach dokąd, dokąd?
Fiu-u-u, fiu-u-u... Na tamten świat.
Ach czemu tak, czemu tak — tak — tak?!
Żyć! żyć! — choćby najgorszym życiem,
— za wszelką cenę, — z głodem, z biciem,
z es-es, z gestapo, z psami, z wyciem!
Tylko nie ten śmiertelny szlak!
Tylko nie ten mogilny próg!
Ratunku..! Ludzie! Gdzie są ludzie?!
Czy Boga brak?
Gdzie Bóg?!

... W mroku, w zaduchu, w ścisku, w brudzie
drży setka wychudzonych nóg
i setka oczu patrzy w dół,
skąd biegnie stuk żelaznych kół,
złowróżbny, głuchy stuk,
miarowy.
Czasem mocniejszy pada huk,
niby karabin maszynowy,
a przy tym słychać śmiech gardłowy,
jakby zakrakał kruk,
— i przeraźliwy krzyk rozpaczy.
I jeszcze raz krew tory znaczy,
— coraz to częściej, — raz po raz.

1 głos — Pani przypuszcza, że na gaz?
2 „ — A może będą palić żywe?
3 „ — Oni dla Żydów skąpią kul.
4 „ — Ach, to być musi straszny ból!
5 „ — Nonsensy, plotki nieprawdziwe.
Niech pani lepiej gębę stuli!
1 „ — Lepiej od gazu, czy od kuli?
6 „ — Ja wiem dokładnie jaki plan.
Wpierw obrabują do koszuli,
a potem wezmą nas do ghetta.
Mnie mówił jeden esesman.
3 „ — To jakiś musiał być poeta.
7 „ — Lub jakiś lepszy prowokator.
8 „ — Albo na forsę był amator.
9 „ — To bardzo wielka jest zaleta,
że ktoś tu jeszcze może wierzyć.
3 „ — Tak, ale trudno będzie przeżyć,
kiedy już bliska będzie meta.
7 „ — Potrzeba w głowę się uderzyć,
lub wcale myśleć już nie umieć,
żeby wszystkiego nie zrozumieć.
8 „ — Albo mieć trzeba oczy kreta.
10 „ — Lub, jak struś, głowę w piasek chować.
3 „ — Żeby dziś jeszcze nie zmiarkować.
11 „ — Jeszcze się może potargować,
kto dobrze skryte ma brylanty,
lub jakąś lepszą biżuterię.
3 „ — To pani jeszcze wierzy w fanty?
Oni urządzą tak loterię,
że chociaż różne bedą stawki,
to wszyscy jeden kupią los.

5 głos — Co pani skrzeczy!
3 „ — Ja mam nos.
7 „ — Pani zabiorą wszystkie rzeczy,
dopiero potem przyjdzie cios.
8 „ — A kto we włosach ma zabawki,
temu nie spadnie żaden włos.
Wpierw będzie całkiem wykończony
Dopiero później oględziny
i stosowanie toalety.
10 „ — Będzie płukany i golony,
jakby na swoje urodziny.
12 „ — Choć to po śmierci już niestety.
8 „ — Zajrzą mu także i do gęby.
10 „ — I zrobią zabieg dentystyczny,
jeśli zobaczą złote zęby.
1 „ — Naprawdę obraz makabryczny.
3 „ — Już pani nie ma żadnych złud?
1 „ — Lecz tego nie chcę mieć obrazu.
Czy pani nogi też jak lód?
4 „ — A ja wiedziałam to odrazu.
6 „ — A ja dotychczas wierzę w cud.
7 „ — Co pani nas tu rozwesela?
6 „ — Ja wierzę w Boga Izraela.
3 „ — Ależ on karze wciąż nasz lud.
1 „ — Mgła przed oczyma się rozściela.
2 „ — A w sercu dziwny chłód.
4 „ — A w głowie szał!
9 „ — Słyszycie? Znowu strzał.
8 „ — Znów jakiś skoczył nieboraczek.

7 głos — Oni strzelają jak do kaczek.
6 „ — Ale ten może szczęście miał!
3 „ — W najlepszym razie złamał nogi.
7 „ — No, nie zazdroszczę dalszej drogi.
1 „ — Tak, ale bez nóg można żyć.
10 „ — Będzie przy torze wolno gnić.
12 „ — Aż go dobiją esesmani.
6 „ — Może go znajdą jacyś ludzie.
10 „ — I zameldują do gestapo.
Przecie to Żyd jest proszę pani!
12 „ — Ot i po całym będzie trudzie.
7 „ — I po co mu był ten frasunek?
3 „ — Pewno! Już lepiej rzeźną szkapą
odrazu jechać na szlachtunek.
9 „ — Tak bez protestu? Mnie się zdaje,
że to jest niesłychany wstyd.
6 „ — Zdaje się.., że hamulców zgrzyt.
3 „ — Co to? Czy pociąg nasz przystaje?

... Fiu-u-u, fiu-u-u, — ach, ach, — żżyd, żżyd.

Jedna — plecy miała wsparte
o wozu scianę roztrzęsioną,
głowę w tył miała odrzuconą,
na kruczej głowie biała chusta
i wpół otwarte
miała usta,
a noc jej oczu — strachem pusta.
Druga była rudowłosa.
Zbłocona suknia w strzępy zdarta.

Włos potargany, noga bosa
i blada twarz, jak śmierci karta.
Pod szyją w sińcach cała.
Spoglądała
wciąż z ukosa.
Czasem konwulsyjnie drgała.
  Trzecia, niby urzeknięta,
stale w jeden punkt patrzała,
a jej kibić lekko zgięta
jakby zesztywniała.
  Czwarta — cała
owinięta
w jakiś długi, brudny szal,
szklanym okiem patrzy w dal
i jak gdyby nic nie widzi,
czy też jakby widząc spała;
a jej warga wykrzywiona
ni to śmieje się, ni szydzi,
niby w bólu uśmiech kona.
  Piąta — w siebie zapatrzona,
czy jakby się czegoś wstydzi.
Ciemne rzęsy, zwisłe wpół,
pół jej wzroku przysłaniały,
gdy spuszczone oczy w dół
niemym płaczem łkały.
  Szósta
miała oczy mgliste
i bezkrwiste
sine usta.

Szybko, ale ledwo znacznie,
poruszają się jej wargi,
szepcą jakieś ciche skargi,
czy przekleństwa, czy błagania.
A patrzyła tak dziwacznie,
jakby bliska obłąkania,
Czasem zgasłe jej źrenice
szkliły się jak węgle duże.
Wtedy w oczach miała burzę
i ciskała błyskawice,
a jej czoło — całe w chmurze,
jakby gniewu nawałnice
z serca szły ku górze.
Wtedy trupio blade lice
pąsowiły się jak róże,
czy jak wsiąkła krew w marmurze,
czy jak krwawe dwa księżyce.
  Tamte się nie odzywały.
Wszystkie, niby upiornice,
cały czas milczały.
  Prócz tamtych, jedna wątła, mała,
choć twarz jej mroźną grozą skrzepła,
we wzroku miała
dużo ciepła,
a w oczach łzy
... płakała.
To siedzi martwa, niby skała,
to znów na całym ciele drży,
jakby coś sobie przypomniała,

to znowu śmieje się przez łzy,
to niby mówi drżącym głosem
to niby nuci coś pod nosem,
a w głosie jakby senne mgły,
a w oczach znowu łzy i łzy.
Raz patrzy jakby wniebowzięta
w jakichś czarownych snów obłoku,
a raz ma dziką boleść w oku,
jakby nieludzkim żalem zdjęta;
a czasem oczy, pełne mroku,
biegają wokół nieprzytomnie,
jak gdyby bała się ogromnie.
Czasem, jak szałem opętana,
zwierzęco pręży się do skoku,
a przy tym wzrokiem błaga.
Na piersi suknia rozchełstana.
Przez rozchylony rąb koszuli
rumieni się pierś naga.
A ona, wcale niezmieszana,
coraz do piersi chustę tuli.
Chusta kraciasta i wełniana,
grubo zwinięta, czymś wypchana,
na kształt wydłużonej kuli.
Potem ją kładzie na kolana
i cicho nuci: — luli.

... I pary szum i wozów zgrzyt.
Ach czemu, czemu... żżyd.

1 głos — Czy pani wzięła je umyślnie?
2 „ — Pani zrobiła lekkomyślnie;
mogłoby dziecko sobie żyć.
1 „ — To wyczyn był egoistyczny.
2 „ — Dzieciak doprawdy taki śliczny.
3 „ — I wkrótce będzie musiał gnić.
7 „ — Tak, krok był bardzo nielogiczny.
5 „ — Warto by matkę za to bić.
3 „ — Co pani będzie jemu nucić!
Wariatką trzeba być.
Matka — O Boże!
7 głos — Nic narzekanie nie pomoże.
1 „ — Może się pani teraz smucić.
3 „ — I gorzkie łzy na próżno lać.
7 „ — Nie trzeba było z sobą brać.
8 „ — Po drodze trzeba było rzucić.
9 „ — Albo z przechodniów komuś dać.
Matka — Kiedy ja bałam się z nim rozstać.
6 głos — Czego się pani miała bać?
Po prostu w rowie mogło zostać
i najspokojniej sobie spać.
Matka — Że się coś złego może stać.
Do tego było trochę chore.
6 głos — Na pewno ktoś by zabrał w porę.
5 „ — Albo do gminy dałby znać.
9 „ — A teraz co się z dzieckiem stanie?
Trza było sobie sprawę zdać.
10 „ — Tak, to jest całkiem słuszne zdanie.

Matka — Ależ ja sama na konanie
nie mogłam rzucić swego dziecka.
Może je zabić dłoń zbójecka,
ale nie ręką własnej matki.
3 głos — Toż pani wiezie je na jatki.
Matka — Ja nieszczęśliwa! Ja przeklęta!
Rozpacz mi serce rwie na ćwierci,
wżera się w mózg i męką wierci.
Ja mam być winna dziecka śmierci?!
Że ja miłością matki zdjęta
psom na pożarcie go nie dałam?
... Bo ja już takie myśli miałam.
Gdy strach wyciskał z oczu łzy,
raz powstał taki plan w mej głowie,
żeby zostawić dziecko w rowie;
bo ja już czułam koniec zły.
Myślałam, że się nikt nie dowie.
Wokół leżały gęste mgły.
Ja nawet rwałam już sitowie
memu maleństwu na posłanie,
żeby mięciuchne miało spanie,
lecz wnet uczułam w sercu mrowie,
bo usłyszałam tuż sapanie;
a to po piętach biegły psy.
Jeden ogromny wilczur bury
miał takie straszne kły
i taki dziki wzrok,
ponury
i jakby krwią nabrzmiały,
że w mojej głowie powstał mrok

a ręce skamieniały.
A dziecko chwyta moje włosy
i konwulsyjnie ściska w rączce
i całe drży jakby w gorączce
i drze się w niebogłosy;
a patrzy na mnie tak wymownie
jakby coś czuło instynktownie.
Wróciłam nieprzytomna prawie
z piekielnie rozpaloną głową
i wtedy dałam sobie słowo,
że dziecka nigdy nie zostawię.
11 głos — Tak, ale pani nie jest w prawie
brać z sobą dziecka do mogiły.
12 „ — Dla nas jest prawie pewny grób.
Matka — Więc gdzież je teraz pozostawię..?!
Chociaż zostawić nie mam siły.
Boże! Co chcesz z nim zrób!
Lecz niech nie będzie winna matka
swojego dziecka skonu.
Niechaj rozstąpi się ta klatka
i niech wyrzucę je z wagonu
na żywy, wolny świat!
Niech matka litość w Tobie wzbudzi!
Uwolń je z kojca rzeźnych ludzi!
Nie daj by nim zawładnął kat
na oczach tej co je miłuje!
Ja Ci ślubuję
tysiąc lat
piekielnych mąk
za moje dziecko.

Niech je zabiorą z moich rąk,
jeżeli miłość ma zdradziecko
stać się powodem jego zguby.
Ja zniosę wszystkie straszne próby,
tylko mi uchyl tę jedyną:
jego zagłady być przyczyną.

1 głos — Ona się stała całkiem siną.
2 „ — Jej oczy świecą jak żar nocą.
3 „ — I skronie jej się pocą.
4 „ — I cała drży jak liść.
5 „ — Śmiertelnie blade usta.
6 „ — I biała twarz, jak chusta.
5 „ — Musimy jej z pomocą iść.
3 „ — Ona się z losem swoim godzi.
Nie o nią, lecz o dziecko chodzi.
7 „ — To dziecko musi żyć!
2 „ — Tak, musi!
4 „ — Musi!
8 „ — Musi!
5 „ — Jakiś ratunek musi być!
Choć nasza meta jest już bliska.
3 „ — Pani wnet dziecko swe udusi.
Niech pani dziecka tak nie ściska.
9 „ — Niech pani da mi je troszeczkę.
Ja pani dziecko wnet uciszę.
1 „ — A ja przewinę w tę chusteczkę.
Ono pod szyją ma za ciasno.
4 „ — A ja je trochę pokołyszę,
to zaraz dziecko będzie spało.

3 głos — Ja je nakarmię piersią własną.
Niech pani lepiej mnie usłucha.
Dziecko pokarmu ma za mało,
bo pani pierś jest całkiem sucha,
za dużo się płakało.
Swoje się dzisiaj pochowało,
kiedyśmy byli w tamtym lasku,
— moje maleństwo nieszczęśliwe.
Właściwie zagrzebałam w piasku.
Od wczoraj było już nieżywe.
Przedtem nie miałam sposobności
11 „ — Tam więcej było takich gości.
10 „ — Ale u pani same kości.
Ja pani dam kawałek chleba.
Pani od wczoraj pewno pości.
Tymczasem jeszcze żyć potrzeba.
Matka — O Boże, wejrzyj z wysokości
i weź je wprost do nieba!
Tam, gdzie lepszego życia świt.
Tam, gdzie bezkrwawy wiedzie byt
aniołków szczęsny tłum.

Wagonów zgrzyt
i pary szum
— ach, ach, tto żżyd, tto żżyd.

1 głos — Będzie mu dobrze w tym kartonie.
2 „ — Otworów więcej robić nie trza.
Teraz nie zbraknie mu powietrza.
6 „ — I pewniej będzie niż w wagonie.

5 „ — Tylko starannie opakować.
7 „ — I zabezpieczyć dobrze skronie.
1 „ — Z tym jest najwięcej ambarasu.
Matka — Dajcie raz jeszcze pocałować!
9 głos — Już mamy bardzo mało czasu,
bo zaraz pociąg wyjdzie z lasu
i będzie musiał zahamować.
2 „ — Potem nie będzie takim prostym
bezpieczny wyrzut skombinować.
7 „ — I może być podróży kres.
Matka — A jeśli je odnajdzie pies?
10 głos — Proszę się tym nie denerwować.
To przecie ziemia nieniemiecka,
a polski pies nie ruszy dziecka.
Wpierw trzeba by go wytresować,
przeszkolić w jakiejś esesszule.
1 „ — Grunt, że nie będzie groził gaz.
10 „ — I że go tam nie znajdą kule.
Matka — Dajcie mi, dajcie jeszcze raz!
Niech choć w tym pudle je przytulę!
7 głos — Patrzcie, jak śmiech jej łonem targa,
jak gdyby je szarpały bóle.
Śmiech — jakby jakaś straszna skarga.
2 „ — Krzywi jej usta w łuk goryczy
i skurczem twarz jej znaczy.
9 „ — I błyszczy w oku łzą rozpaczy.
1 „ — A całe ciało spazmem krzyczy.
4 „ — A w piersi braknie tchu.
10 „ — Jeśli mu pani dobrze życzy,
to proszę czasu nie marnować,

bo już najwyższy czas startować,
o ile osiąść ma na mchu,
albo na krzaku resorować.
3 głos — Inaczej może źle lądować
i ponieść znaczny szwank na zdrowiu.
1 „ — Teraz należy drzwi otworzyć
i trzymać paczkę w pogotowiu.
6 „ — Wpierw trzeba jeszcze kartkę włożyć,
żeby wiedzieli, że to Żyd,
bo dla nas byłby wielki wstyd,
gdyby zrobili z niego goja.
5 „ — No, i ochrzcili go w kościele.
9 „ — Nie warto! Taka etykieta,
to prawie beznadziejna zbroja.
5 „ — Tak, to pomoże mu niewiele.
Takiego nie uwzględnią weta.
7 „ — I stanie się antysemita.
8 „ — Na Żydów będzie pies — i kwita!
6 „ — Można poprosić, by nie chrzcili,
— by wychowali w ojców wierze.
10 „ — Polacy by to uwzględnili.
6 „ — Polak to nie niemieckie zwierzę,
czasami srodze się zaperzy,
lecz mityguje się po chwili.
7 „ — A mało oni Żydów bili?
10 „ — Niedowarzonej czyn młodzieży.
6 „ — Albo szelmowska jakaś granda.
4 „ — Albo endecka propaganda.
10 „ — Mnie wcale na tym nie zależy,
żeby wybielać polską duszę,

jednak bezstronnie przyznać muszę,
że w Polsce jeszcze nieźle było.
6 głos — Bo z polskim ludem można żyć.
12 „ — Mogło by dużo lepiej być,
gdyby się obcym nie służyło
przeciwko Polsce zbyt gorliwie.
To się zemściło obrzydliwie.
11 „ — Teraz już nie ma o czym śnić.
Dla Żydów wszystko się skończyło.
12 „ — Ich grób na polskiej wyrósł niwie.
3 „ — Ale to dziecko będzie żyło!
6 „ — I będzie chować się szczęśliwie
na nowym lepszym świecie.
7 „ — Co pani teraz plecie!?
9 „ — Gdzie pani widzi lepszy świat?
7 „ — Będzie tak samo wciąż, jak było,
— i łzy i bat
i krew i kat.
9 „ — Na świecie nic się nie zmieniło.
8 „ — Niech pani z tego świata drwi!
6 „ — On się rozwinie niby kwiat.
7 „ — Czy pani nie ma dość udręki?
6 „ — Właśnie, zakwitnie z łez i krwi,
powstanie z naszej męki.
Co pani marszczy brwi?!
7 „ — Ja jeszcze słyszę ludzkie jęki,
a przed oczyma ciągle tkwi
ludzkiego mięsa krwawy płat.
9 „ — A tu to dziecko w zwoju szmat
wyważać ma okute drzwi

do nowych lepszych lat?
6 głos — Bo ono będzie w strasznej sile.
Ta wątła trawka z krwawych łąk,
ten kwiat, co zakwitł na mogile
w sądnego dnia burzliwą noc,
jak jakiś makabryczny pąk,
a teraz niby martwy kloc
na los wypadnie z naszych rąk,
— będzie miał w sobie dziwną moc
wszczepioną duchem ludzkich mąk,
zaklętą echem ludzkich zdrad,
— jak wielcy dawnych lat prorocy,
będzie mógł widzieć w dzień i w nocy
ludzkości przyszły ślad
i będzie targał jej sumieniem
i świecił wiecznym ostrzeżeniem.
7 „ — Lub będzie pełzał niby gad
wśród głazów tchnących spustoszeniem,
roznosząc wszędzie trupi jad,
— będzie wszczepieniem strasznych wad,
potwornej zbrodni cieniem,
— dla ducha stanie się kamieniem,
co ściągnie na dół jego lot.
10 „ — A może będzie inny zwrot?
Może zabłyśnie zrozumieniem
dwóch z dawna powaśnionych ras?
Bo on się wczuje dobrze w nas
i w tych, co będą mu zbawieniem.
4 „ — Uwaga! Już się kończy las.
1 „ — Otwierać drzwi! Najwyższy czas.

4 głos — Przy torze tuż jałowców ścieg.
10 „ — Stanąć na sam wagonu brzeg!
Rozhuśtać! — Razem! — Raz!
4 „ — ... Poleciał — niby ptak.
1 „ — I upadł niby głaz.
10 „ — Szczęśliwie, bo na krzak.
1 „ — I dobrze, że na wznak.
3 „ — Już mu nie straszny gaz.
2 „ — Tu będzie zdrowe miał powietrze.
8 „ — Teraz znalazcy tylko brak.
6 „ — Ludziska go dostrzegą wraz.
Pudełko w tym czerwonym swetrze
niby pąsowy mak
kołysze się na wietrze.
4 „ — A to jest uczęszczany szlak
na każdym kilometrze.
12 „ — Ale to droga nieniemiecka,
bo w lesie siedzi młodzież zbrojna.
4 „ — Tu każda kępa jest zdradziecka.
1 „ — Dla Niemców straszna taka wojna.
6 „ — Już matka może być spokojna
o losy swego dziecka.
Nie porwie go ten naród wilczy.
7 „ — Co ona tak uparcie milczy?
8 „ — Przy tym uśmiecha się tak głupio.
9 „ — I tak wytrzeszcza strasznie oczy.
10 „ — I patrzy na nas trupio.
7 „ — Czym prędzej niech ktoś do niej skoczy.

1 głos — Jej twarz oblała się szkarłatem.
2 „ — Słyszycie, jak jej w piersi jękło.
3 „ — Stójcie! — przed śmierci majestatem.
U matki serce pękło.

I w oczach wszystkich śmierci wid,
a w głowie natłok dziwnych dum,
... o dziecko niemy strach.

Wagonów zgrzyt
i pary szum.
Ach — ach — ach — ach,
żżyd, żżyd.

*

Z MŁODZIEŃCZYCH NURTÓW

Hej dziki orle, do góry leć!
Nie dla ciebie garść gliny stworzona,
Nie dla ciebie gór, lasów sieć,
Nie dla ciebie ta niwa zielona.
Komu Pan Bóg dał takie i skrzydło i oko,
Temu pełzać nie wolno po ziemi,
Ten niech leci w przestworza wysoko, wysoko,
Niech mknie w górę siłami wszystkimi.
Orle, w chmury pędź śmiało!
Do piorunów zajrz lotnej kołyski!
Nie oślepią ognia błyski
Oka, co w słońce patrzało.
A gdy, pędząc wciąż do góry,
Już przestaniesz ciemne chmury
Niewstrzymaną piersią drzeć,
Wtedy w słońce zapatrzony
Podwój, orle, lot szalony,
Prosto w górę leć!

*

Dębie królu, w liściastej koronie,
W złotym mchem bramowanym pancerzu,
Dzikiej puszczy niezłomny rycerzu,
Czemu w państwa nie stajesz obronie,
Kiedy wichry królestwo ci niszczą,
Czemu w mocne nie ujmujesz je dłonie,
Czemu piersi twe groźby nie świszczą,
Czemuś sennie opuścił ramiona,
Kiedy w tobie królestwa obrona?

Dębie królu, las jęczy w rozpaczy,
Że nie raczysz okazać swej władzy,
Że królewski majestat w zniewadze,
Że w zadumie król na nic nie baczy.
Zbudź się królu, wznieś mężne ramiona,
Niechaj wiedzą co twoja pierś znaczy!
W tobie państwa całego obrona,
Tobie nisko nie wolno nieść czoła.
Zbudź się królu, twój naród cię woła!

— Milczcie, milczcie, wy lasy i knieje!
Kiedy piorun ognisty mię smagał,
Jam o litość nikogo nie błagał.
Gdy szarpały mię burze, zawieje,
Gdy ciągnęły chmur czarnych nawały,

Czy huragan, co w polu szaleje,
Jam nie błagał i nie stał zdrętwiały.
Lecz dziś błagam — nie szumcie mi wcale,
Lub was własnym mym trupem przywalę!

Nie struchlały ramiona mocarne,
Orkan piersi królewskich nie zgniecie,
Ani burza korony nie zmiecie,
Ani wiatrów zapędy bezkarne.
Robak pierś moją, wnętrze me wierci,
Stoczył piersi, aż stały się czarne.
Niech je teraz drze wicher na ćwierci!
Milczcie świerki i brzozy i klony!
Jam nie godzien królewskiej korony.

*

Pieni się, huczy Dniepr szeroki
I wicher wściekły z wyciem dmie,
Bałwany wzdyma pod obłoki,
Do dołu siwe wierzby gnie.

A blady księżyc o tej porze
Co raz wychyla się zza chmur,
Jak czółno, prując sine morze,
Zapada ciągle w toni wór.

Jeszcze nie piały trzecie kury,
Nie nadszedł jeszcze gwaru czas,
Tylko puhacza krzyk ponury
I jawor skrzypi raz po raz.

(Przekład z Szewczenki)

*

Widziałem raz brzózkę przez wicher złamaną,
Pień miała skręcony, gałęź zdruzgotaną,
A listki nie więdły i drzewko wciąż żyło,
Dopóki się słońce za górę nie skryło.

Widziałem motyla, miał skrzydło złamane,
W słonecznych promieniach skrzydełka grzał ranę.
Żyć jeszcze na świecie bardzo mu się chciało.
I żyłby, lecz słońce zachodzić już miało.

Widziałem, jak strzała sarenkę przeszyła.
Upadła biedaczka, posoką broczyła
I walczyć ze śmiercią nie miała już mocy,
Lecz żyła, dopóki nie zapadł mrok nocy.

Na świecie ma każdy swe słonko co grzeje.
I dobrze i lubo, gdy słonko istnieje,
Lecz gdy tylko zniknie, wnet szczęście przeminie,
Bo wszystko na świecie bez słoneczka ginie.

Ode mnie odeszła dziewczyna kochana.
Usycham z tęsknoty, jak brzózka złamana.
W ponurej rozpaczy dzień za dniem upływa.
I słońca nie widać i śmierć nie przybywa.

(Przekład z Aleksandrowa)

*

Trąbka

Na koń!
I szable w dłoń!
I koniem w cwał
w bitewny szał
pod lufy dział
na strzał!

Kto w Boga wierzy
niech z nami bieży
i niech uderzy
na wrogów wał!
Niech się zanurzy
w śmiertelnej burzy,
gdzie krew się kurzy
w motłochu ciał!

I szablą wal
i lancą kłuj
i ogniem pal
i kulą pluj!

Dla świętej sprawy
i dobrej sławy —
na bój, na bój, na bój!

*

Rzuca gniazdo orzeł młody,
Pod obłoki mknie.
Chciwy słońca i swobody
Z wiatrem puszcza się w zawody,
Piersią chmury tnie.

Bez obawy wzrok sokoli
W krąg ognisty wbił.
Od widoku szarej roli
Orzeł blask słoneczny woli,
W górę mknie co sił.

Nikną z oczu siwe góry,
Milknie borów szum.
Pod orlęciem płyną chmury,
Orzeł ciągle mknie do góry
Pełen dzikich dum.

O tym wielkim słońcu marzy,
Co tak pysznie lśni.
Myśl szalona bije z twarzy,
W piersi serce mu się żarzy,
Wszak o słońcu śni.

Wicher orłów nienawidzi,
Garście pierza rwie,
Ale orzeł z bólu szydzi,
Orzeł srebrnych piór nie widzi,
Wszak do słońca mknie.

Coraz szybsze skrzydeł cięcia,
Słońce blisko już.
Orzeł chywci je w objęcia,
Bo cóż słońce dla orlęcia?
Cóż że pali, cóż?!

Ale wicher, co mknął spodem,
Straszną zemstę knuł.
Z gór rodzinnych wionął chłodem,
Orle piersi przeszył lodem,
Lodem serce struł.

Darmo skrzydło się napręża,
Na nic straszny gniew.
Orzeł całą moc wytęża,
Lecz pierś skuta nie zwycięża,
W żyłach stygnie krew.

A wiatr resztę sił odbiera,
Mocniej piersi skuł.
Próżno orzeł się opiera,
Pierś mu dziki krzyk rozdziera,
Orzeł spada w dół.

Spadł bez czucia ptak szalony,
Co o słońcu śnił.
Na rodzinne spadł zagony,
Długo, długo trwał zemdlony,
Skrzydłem piasek bił.

A gdy podniósł wzrok ponury
I nabrzmiały krwią,
Ponad sobą widział chmury,
A dokoła — szare góry
Otulone mgłą.

Ból okropny serce ścisnął,
Straszną rozpacz czuł.
Dzikim szałem wzrok zabłysnął,
Orzeł szpony w piersi wcisnął
I pierś własną pruł.

Już źrenica mgłą przyćmiona,
Już tchu ledwo stać,
Jeszcze błyska myśl szalona
I z tą myślą orzeł kona,
Innej — nie chce znać.

*

A ja rzucę czarną ziemię
I bez żalu i bez trwogi,
Rzucę całe ludzkie plemię
I w podniebne pomknę drogi.

Nad orlemi wzlecę gniazdy
I w błękitu wpadnę morze.
Minę księżyc, minę gwiazdy,
Będę dalej mknął w przestworze.

Coraz szybciej, coraz wyżej,
Coraz dalej od tej ziemi
I ku słońcu coraz bliżej
Pomknę skrzydły płomiennymi.

I tak będę mknął bez końca.
W słońcu chciwy wzrok utopię,
Aż w promieniach tego słońca
W małą gwiazdkę się roztopię.

I wysoko tam zabłysnę,
Tam w pośrodku gdzieś błękitu
I nad czarną ziemią zwisnę,
By jej świecić z niebios szczytu.